

KONRAD KOMORNICZAK

„PRZYCHODNIA”

Naprawdę mało jest słów tak dziwnych jak przychodnia. Wszystkim dobrze znane miejsce, semantycznie oraz morfologicznie zachęca, by do niego przychodzić. W praktyce jednak wszyscy, którzy do przychodni idą, woleliby z niej raczej odejść i tak też po większej części się właśnie dzieje. I nie chodzi tu o wstręt do quasi-ascetycznych bladożółtych lub bladnoróżowych ścian przyklejonych jedynie na kurz do zmurszałego linoleum. Ani nawet o korpulentne panie z rejestracji, które brutalnie wyrwane z *rendez-vous* z Harlequin'em, nie potrafiąc się odnaleźć w rzeczywistości kontynuują przed nami trzecioosobową narrację. W dodatku w czasie przeszłym, jakby już nas nie było, jeszcze zanim na dobre przyszliśmy. W ten sposób przychodnia staje się, chyba jako pierwsza w dziejach, jednopodmiotowym oksymoronem. Szczęściarze odchodzą z niej prosto do nieba (dla tych, co wierzą) lub prosto na kompostownik (dla tych, którzy procesom gnilnym nie nadają imion), ci z mniejszą przychylnością fortuny, z jednostronnym biletem na podobną wycieczkę, jeszcze inni zaś odchodzą z kwitkiem. Może więc, stosując podobne zasady słowotwórcze przychodnia powinna nazywać się odchodnią. To jednak już sprawa dla językoznawców, nasi lekarze są bowiem zbyt zajęci, by debatować nad błahostkami.

Tym razem jednak nie o słowo, a o cyfry się rozeszło. Numerki, dokładniej rzecz ujmując. Równy o dziewiątej stawiałem się w przychodni, by w odróżnieniu od siedzącej pod gabinetem grupki ludzi ostatecznie wykluczyć chorobę i bez zbędnych ruchów odejść do mniej lub bardziej ważnych zajęć. Lekarka przyjmowała wizyty od dziewiątej. Miałem drugi numerki, więc zakładając statystyczny czas poświęcany jednemu pacjentowi w naszej służbie zdrowia, dwadzieścia po powinienem już być w drodze do domu, mrużąc oczy od świecącego tego dnia wyjątkowo mocno słońca. Lecz cóż słońce, gdy na horyzoncie pojawiają się chmury.

- Dzień dobry – w wyuczony sposób kiwnąłem głową, pozostawiając jednak ton głosu na tyle bezbarwnym, by nie groziły mi kurtuazyjne rozmowy o maściach z bobrzeżo sadła i ich zbawiennym wpływie na korzonki.

- Dzień dobry – odpowiedział wyraźnie człowiek w wieku mojego ojca, po czym coraz ciszej, niczym echo kolejno wtórowali mu staruszka o sowim spojrzeniu ukrytym pod okularami i żylasty karakan nieco tylko od niej młodszy.

Odwiesiłem kurtkę na pustawy jeszcze wieszak i pozostawiając wolne krzesła oparłem się o ścianę, zakładając, że lada moment poczekalnia zapełni się ludźmi starszymi ode mnie.

- Pan do neurologa? – wyrwał się żylasty, do tej pory wpatrzony w jedyne w tej części przychodni drzwi.

- Tak, tak! – rzuciłem odruchowo, nie wiem dlaczego powtarzając. Jakby raz nie wystarczyło. Więcej nie będę się odzywał.

- Który pan ma numerki?

Jak pomyślałem tak też zrobiłem. Ci z wyglądu schorowani ludzie są jak piranie, jak strzelniczy proch. Wystarczy byle iskra, byle kropla krwi, by się na mnie rzucili z opowieściami o rozwiedzionych córkach, utalentowanych wnukach, artretyzmie i w ciągu chwili pożarli moje siły witalne, a następnie osaczonego, półprzytomnego, poddanego z nudów pochwalili: jak to miło spotkać młodego człowieka, co by tak umiał porozmawiać. Wiedziałem o tym wszystkim; znałem z opowiadań przyjaciół, kojarzyłem z empirii. Czym prędzej wyciągnąłem telefon komórkowy i udawałem zajętego. Niech żyje stary sprawdzony sposób na komórkę.

- Który pan ma numerki? – zabrzmiało głośniejsz; wróg był u bram. – Proszę pana?

- Słucham? Drugi.

Drugi, czy dwa, nigdy nie wiedziałem. Kropla jednak weszła już w skałę, w piasek raczej, wnioskując po czasie jaki jej to zajęło.

- Ja mam dziesiąty (dziesięć).

- Ja ósmy (osiem).

- Ja piąty (pięć).
- Ja tylko na chwilę, po receptę.
- A ma ktoś pierwszy? Jeden? – kapitulowałem szybciej niż Francja.
- Nie ma, ale wchodzi się po kolei.

Po kolei zabrzmiało dla mnie wystarczająco jasno, dlatego skierowałem spojrzenie na powrót do telefonu. Wszystko zdawało się dogadane. Nie było sensu dłużej konwersować.

- Lekarz już jest? – zadał pytanie jakby sobie, pobudzony żyłasty, przyciskając, domyślał się, po raz wtóry już niezłomną klamkę.
- Wie pan jak z lekarzami.
- Gdybym ja się spóźnił dziesięć minut do pracy, to bym był szczęśliwy jakby mnie szef bez nagany wypierdolił.
- Dokładnie.

Dokładnie co? Co chciałem powiedzieć, mówiąc dokładnie i po co? Czy może naturalnym moim stanem jest nie zamykać jadaczki i pasuje do przychodni bardziej niż dawałoby się na pierwszy rzut oka pomyśleć? Może wiek nie jest tu przeszkodą. Może trzeba być w duszy jakimś starym, umęczonym, żeby nie umieć się zamknąć. Albo może trzeba być takim typem, mieć tyle myśli, że się przelewa, jak w pełnym szambie. Bo to taka właśnie myśl jak z szamba – dokładnie?!

- A widzi pan. Pan na przykład też się spóźnił. Nie pilnował pan kolejki – perorował żyłasty.
- Słucham? – zdziwiłem się.
- No miał pan przecież drugi numerki i nie przyszedł pan wcześniej.
- Mówił pan, że po kolei.
- No bo po kolei. Tak jak się przyszło. Teraz musi pan na koniec, chyba, że ktoś pana wpuści.
- Chyba pan żartuje.
- Nic pan nie robi, tak jest – szepnęła unosząc ramiona doświadczona staruszka, ale jej głos przepadł w trzewiach dalszej dyskusji.
- To po co są te numerki? – byłem już wyraźnie zdenerwowany.
- Żeby wiedzieć ile wcześniej przyjść.
- Widzi pan, że wszyscy jesteśmy za wcześnie, bo lekarki jeszcze nie ma.
- Ale myśmy byli wcześniej. Przecież wiedział pan, że ma pan dwójkę.
- Po co te kłótnie, panowie. Puścimy pana przodem i sprawa rozwiązana – odezwał się znowu grubym głosem ten, co to chciałby z naganą wylecieć z pracy, po czym rzucając na mnie spojrzenie poklepał pojednawczo żyłaste plecy sąsiada. – Potem już po kolei: najpierw pan, potem pani z ósemką i ja z piątką.

Mimo, iż przyznawanie mi przywileju, który posiadałem, moim zdaniem, już wcześniej dzięki pomysłowo przeprowadzonej rejestracji telefonicznej, było nieco uwłaczające, to jednak ze względu na pośpiech postanowiłem nie kontynuować dyskusji i przyjąć salomonową łaskę.

- Czy ja mogłabym tylko na momencik po tę receptę? – zerknęła na mnie młoda kobieta bez numerka.
 - Proszę – wyrwałem się, nie wiedząc czy wpuszczenie mnie do kolejki daje mi pełne prawa osoby, która wejdzie jako pierwsza, w tym również prawo wpuszczania kogoś przede mnie. Co stanie się jeśli przyjdzie pierwszy numerki (jeden) bałem się nawet myśleć.
- W międzyczasie zjawiała się spóźniona lekarka i robiąc zamieszanie wokół klamki, która podobnie jak przed żyłastym nie miała zamiaru ustąpić, uchroniła mnie choć trochę przed osądem za przewinę sprzed chwili. Drzwi jednak w końcu odpuściły, a odgłosy późniejszej krzątaniny wewnątrz upewniły wszystkich czekających, że zaraz zacznie się przyjmowanie. A więc byłem pierwszy. Na pewno, na sto procent. Oczywiście zaraz po pani od recepty – dwukrotnie pierwszy, mimo, że drugi (dwa). Ręka w przykrótkim rękawie białego kitla odsłoniła gabinetowe wnętrze.
- Pierwsi z medycyny pracy! – oznajmił okrzyk lekarki.

Co? A więc są jeszcze jacyś inni uprzywilejowani, z asem w rękawie, z medycyny pracy, którzy mają pierwszeństwo. Spojrzeliśmy po sobie, by po sekundzie odetchnąć. Nikt się nie podniósł, pierwsza weszła więc kobieta od recepty. Rzeczywiście nie zabawiła długo i gdy już miałem wejść do gabinetu, w korytarzu ukazała się idąca zwawym krokiem gruba okularnica z wypchanymi siatkami przeróżnej maści.

- Przepraszam, który numerek? – darła się od wejścia.

- Drugi. (Dwa.) – zatrzymałem się przy drzwiach, ręką cały czas kontrolując klamkę.

- To ja mam jeden! – zbliżała się do mnie jak czołg.

- Proszę pani! – podskoczył z krzesła żyłasty.

- Słucham?

- Pani się spóźniła, pani nie pilnowała kolejki! – żyłasty wchodził na najwyższe obroty.

- Przecież jestem pierwsza, a właśnie wchodzi pierwszy.

- Drugi (dwa) – wtrąciłem.

- Proszę się odsunąć! – fuknęła na mnie.

- Proszę pani, tu się wchodzi po kolei – mając na uwadze swój do czegoś tam, już nie pamiętam do czego pośpiech, powiedziałem spokojnie acz stanowczo.

- Dokładnie – prychnął żyłasty.

- No to właśnie ja jestem po kolei pierwsza!

- Pani się spóźniła, pani nie pilnowała kolejki! Po kolei, tak jak się przyszło! – wszedłem do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi, prawie pewny, że żyłasty przed momentem puścił mi oczko.

Badanie nie trwało długo. Utwierdzony przez lekarkę w przekonaniu, że nic mi nie jest opuściłem pospiesznie gabinet i bez słowa, z kurtką na ramieniu umknąłem ku drzwiom wyjściowym. Tak właśnie z przychodni odszedłem zdrowy, lecz w niesławie. I już nie wiadomo czy numerki gorsze, czy słowa.